

Teatr 5/1965

## NOSOROŻCE RODZĄ SIĘ WSZĘDZIE

Na szczecińskim przedstawieniu Nosorożca Ionesco siedziałem za kilkoma młodymi ludźmi, którzy przed podniesieniem kurtyny w III obrazie zastanawiali się głośno: co to jest? Szło im — rzecz jasna — o zaszufiadkowanie sztuki do któregoś ze znanych gatunków, a więc: komedia to czy dramat? Ich wątpliwości wydały mi się uzasadnione. Bo przez dwa akty, aż do pojawienia się pierwszego nosorożca, czyli człowieka ubranego w naturalistyczną maskę, naśladowującą tego zwierza, nie dzieje się nic takiego, co by pobudzało do śmiechu, albo było pretekstem do darcia szat.

Myślę, że nie jest to wina niewrażliwości młodych ludzi, jak się zorientowałem później, absolwentów jakiegoś liceum. Nie jestem skłonny również całkowicie zwać za to winę na teatr. W tej reakcji można dostrzec odbicie słabości samej sztuki. Po prostu to, co w formie zagęszczonej, w postaci jednoaktówki atakuje ostro naszą wrażliwość, co w sposób szybki uruchamia naszą myśl i prowadzi nieuchronnie do odkrycia absurdu w ogóle, czy sytuacji absurdalnej, stanowiącej metaforę utworu — jest w *Nosorożcu* rozwodnione. Funkcje intelektualne, które pobudzają inne sztuki (*Lekcja*, *Łysa śpiewaczka*, *Krzeseła*), każde prawie zdanie, każda sytuacja, są w *Nosorożcu* zwolnione, rozleniwione, rozcieńczone jakby w proporcji do trzech aktów trwania przedstawienia. Jak porcja whisky z dużą ilością wody sodowej.

Maryna Broniewska nie ma widać wielkiego doświadczenia „trunkowego”. Nie łała wody, której autor dołał do whisky. Zarzut to może nazbyt ogólny, niesprecyzowany. Bo nie może być zarzutem, że reżyser przedstawił na scenie to, co przeczytał w sztuce. Broniewska nie szukała żadnych „przekładni” konkretnych; nie chciała zawęzić sztuki i widzieć w postaciach jej hitlerowców czy inne znane wynaturzenia społeczne. Ludzie w przedstawieniu szczecińskim po kolei zmieniają się w nosorożce, ale o wiele bardziej wskutek widomego nałożenia maski z papier-maché, niż wskutek przemian „wewnętrznych”. Każdy z nich ma usprawiedliwienie dla siebie, każdy ulega ogólnemu pędowi z jakichś indywidualnych przyczyn.

Trudno powiedzieć co wysuwa teatr szczeciński na czoło: pochwałę nonkonformizmu, czy groźbę totalitaryzmu. Andrzej Kopiczyński w roli Berengera jest o wiele bardziej zagubiony, niż przerażony. Staże on — jak zwykli ludzie — bezradny w zetknięciu z molcchem współczesnej kultury masowej. Z drugiej strony Janusz Marzec jest w roli Jana mocnym, zdecydowanym reprezentantem produktu takiej właśnie kultury. Stanowi on uosobienie pojęć,

sądów i reakcji ludzi, będących wytworami tej kultury. Podobnie Daisy Krystyny Bigelmajer, czy Botard Antoniego Szubarczyka, każde z nich oczywiście w swoim rodzaju, w swoim przekroju umysłowym i społecznym. W rezultacie odnosi się wrażenie, że raczej za czy przeciw nosorożcom są tu bardziej podzielone, niż chce autor.

Ale mimo że spektakl nie jest zły, odczuwamy pewną czczość, pewien niedosyt. Podział racji nie przemawia do nas, nie angażuje nas, nie czujemy się sędziami w tym procesie. Wydaje się, że brak w spektaklu wyraźniejszych akcentów, wypunktowania myśli autorskich.

A przecież i pod względem aktorskim i scenograficznym można uznać spektakl za udany. Scenografia Janusza Adama Krassowskiego, pokazując wnętrze osiadłego miasteczka francuskiego, wydaje się sugerować, że nosorożce rodzą się wszędzie.

A. W.